

Jeździec trener autor słownika

Zdzisław Baranowski urodził się w 1898 r. w Gorzyczkach w woj. poznańskim. Dom był wybitnie patriotyczny, od wczesnego dzieciństwa kształtował jego osobowość, rozwijając najwyższe zalety ducha i umysłu. Początki nauki wraz z rodzeństwem pobierał w domu pod okiem wytrawnych nauczycieli, którzy w uczniów na zapas wpajali wiedzę o Polsce. Młodzież bowiem z tych środowisk w okresie zaborów, idąc do szkół niemieckich, gdzie języka polskiego nie było, musiała być dobrze zorientowana w sytuacji politycznej i mieć pełny zasób wiedzy o Polsce, jej historii i dziejach kultury. Toteż Zdzisław Baranowski jako 13-letni uczeń gimnazjum kępińskiego prowadził Towarzystwo Tomasza Zana, zajmując się tajnym nauczaniem języka i historii Polski. Dzięki sposobom naówczas stosowanym, które obniżały chwilowo stan zdrowia chłopców poborowych, udało mu się uniknąć wcielenia do armii niemieckiej, co nie było łatwe, gdyż Baranowski już w młodym wieku zwracał uwagę Niemców postawą i wysokim wzrostem, wywołując pytania dlaczego dotąd nie nosi munduru.



Zdzisław Baranowski

Z dniem uformowania się Pułku Ułanów Gnieźnieńskich, ufundowanego przez Stanisława Grabskiego z Bieganowa zgłosił się w styczniu 1919 r. ochotniczo w jego szeregi. Spełniły się marzenia jego dziecięcych i młodzieńczych lat, aby zostać polskim ułanem. Pułk zmienił potem numerację i został 17. Pułkiem Ułanów Wielkopolskich z siedzibą w Lesznie. W 1923 r. Baranowski powołany został do Dowództwa Korpusu nr VII w Poznaniu, co w jego młodym wieku było wyróżnieniem. Pełnił służbę adiutanta kolejno u generałów Raszewskiego, Hausera i Sosnkowskiego. Przyjaźń z ostatnim szefem przetrwała okres niewoli.

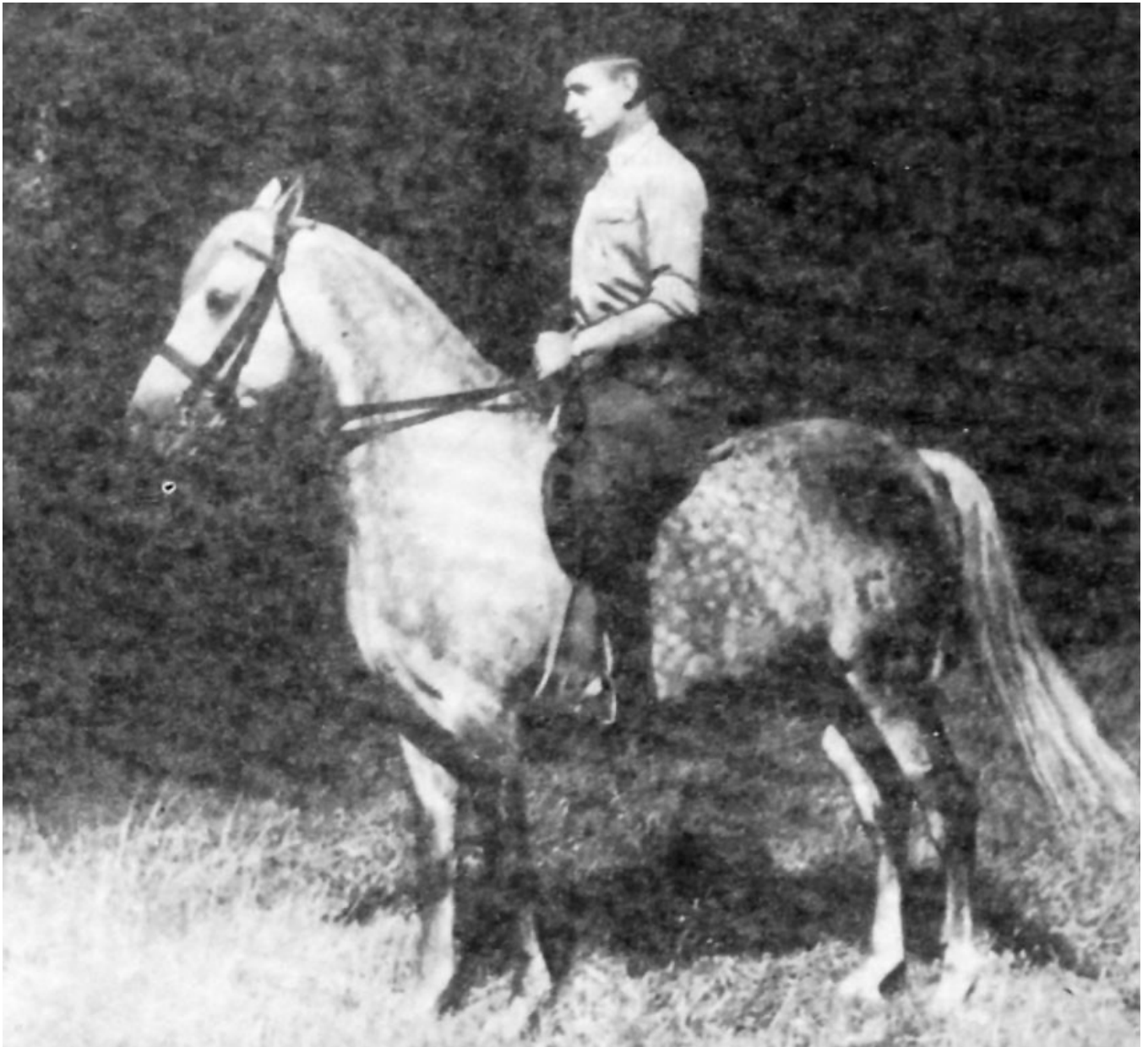
II wojna światowa zastała go w randze rotmistrza i dowódcy III szwadronu. Ranny pod Kutnem dostał się do niewoli niemieckiej. W obozach jenieckich prowadził naukę języków obcych i pogłębiał swą wiedzę w dziedzinie hipologii. Wielu współjeńcom pomagał podnosząc ich na duchu, gdy popadali w nostalgię lub gdy bezczynność dokuczała im w połączeniu ze świadomością, jak bardzo są ojczyźnie potrzebni właśnie w czas niewoli i walki podziemnej. Żołnierz z krwi i kości, który w pełni zasługiwał na średniowieczne określenie „Chevalier sans peur et sans reproche”, głęboko przeżył klęskę wojsk i niewolę Ojczyzny. To wszystko, razem z wiadomością o śmierci ukochanej żony Zofii z Chełkowskich, która zginęła w gruzach Warszawy, bardzo go przybiło.

Poznawszy smutny los jeńca obozu niemieckiego, po zakończeniu wojny schronił się w Genewie, gdzie ożenił się z mieszkanką Genewy, córką płk. Fernanda Chenevier i w ten sposób zyskał nową ojczyznę.

Cechowała go rzadka elegancja, tak w sensie moralnym jak i fizycznym, i chociaż życie nie szczędziło okrutnych doświadczeń, umiał zachować twarz. Cechowała go duma, która nie prosi o jałmużnę, i spokojna odwaga dająca wspaniałe panowanie nad sobą.

Aleksander Radwan: Pragłowski pisał o nim — „Poczytuję to sobie za zaszczyt, że wolno mi odtworzyć choć retrospektywnie opinię wojskową o moim towarzyszu broni, koledze i dawnym podwładnym. W czasie mego niespełna 7-letniego dowodzenia 17. Pułkiem Ułanów w Lesznie oficer ten przebywał cały czas w pułku jako porucznik, a następnie rotmistrz sprawując głównie funkcję dowódcy szwadronu. Wystawiałem mu zawsze najlepszą opinię. Ceniłem go, lubiłem i szanowałem, podobnie jak wszyscy koledzy i podkomendni. Nie będzie to bez znaczenia, jeżeli nadmienię, że przez cały czas mego

dowodzenia nie mieliśmy żadnego nieporozumienia służbowego, co nie było bynajmniej dowodem mej pobłażliwości, a jedynie sprawdzianem jego wzorowego postępowania w służbie, jak i poza nią. Był filarem służby i był wyrocznią w sprawach dotyczących godności pułku i honoru kolegów. Był to oficer niezwykle prawy, o ustalonym charakterze, a przy tym gentelmen, na którym można polegać pod każdym względem. Umysł dociekliwy, spostrzegawczy, a także krytyczny, człowiek o dużej inteligencji.



Podczas treningu w terenie na siwym Tabou, Schoenbóken, Niemcy, 1946 r.

W pracy bardzo rzetelny, zupełnie wyzbyty taniej błyskotliwości, obliczonej na efekt wobec przełożonych. Cechował go wyróżniający talent w organizacji każdej powierzanej mu pracy, którą rozwijał spokojnie i systematycznie, rzeczowo i konsekwentnie, przez co zyskiwał zawsze pełne wyniki. Wielki znawca koni, zamiłowany w ujeżdżeniu koni i wszystkim, co się ze sportem konnym wiąże. Oczytany, znający biegle kilka języków, świetnie wychowany towarzysko, nie mający żadnych nałogów. Nie upiększyłem niczego. Piszę to, co myślę i czuję”.

* * *

Notatki Żuli.

„... wiem również, jak wielką stratę poniósł, gdy po kilkuletnim wysiłku pisarskim w niewoli w słynnym „marszu pomorskim” tracił po kolei cenne rękopisy. Inaczej po wojnie wydałby kilka książek. Potem musiał przejść do walki o chleb codzienny. Mimo swej ogromnej wiedzy i kwalifikacji w dziedzinie hipologii nie znalazł ani w Anglii ani w Szwajcarii odpowiedniej pracy dla siebie. Kilka lat pracował w Szwajcarskim Komitecie Pomocy Lekarskiej dla Polski. Wreszcie zaangażowano go do słynnego „Manege de Geneve”, który był spadkobiercą słynnej już w XVII w. klasycznej szkoły jazdy. W tym międzynarodowym mieście uczniami jego byli cudzoziemcy z różnych grup społecznych, od młodzieży z domów panujących do robotników z fabryk, czy ekspedientek. Wszystkie grupy wiekowe od 10 do 80 lat. Członkowie rodzin uczniów, przyjaciele lub tylko ciekawscy siadali na trybunie podziwiając widowisko. Szkolenie prowadził w kilku językach, najrzadziej niestety w polskim. Czasem dawał pokazy dre-sażu, czyli wyższej szkoły jazdy. Jego sprzężysta i młoda sylwetka, jego wybitna elegancja i sztuka jeździecka były imponujące. Była to trudna praca w ciężkich warunkach. Miał tylko dwie wolne niedziele w miesiącu. Często dawał lekcje wieczorami „en nocturne”.



W drodze, której ostatnią przystanią nie była niestety Polska.

Był zawsze opanowany i uśmiechnięty. Uczniowie uwielbiali go za jego dar pedagogiczny. Opuszczając Genewę nie tracili kontaktu ze swym profesorem, dając do końca dowody wzruszającej pamięci i przyjaźni.

Z odległości wielu lat muszę powiedzieć, że śp. Ojciec miał ogromne zalety i był sylwetką wyjątkową. Wspomnienie pośmiertne w „La Suisse” wnikliwie podkreśla jego zalety i świadczy, jaką popularnością cieszył się ten człowiek z dalekiego kraju w zupełnie nowym środowisku.

Słownik napisał oczywiście zupełnie samodzielnie, wszystkie teksty: polski, francuski, niemiecki i angielski. Potem dzięki znajomościom w kołach hipicznych dodał hiszpański i portugalski. Mając ogromną wiedzę w tej dziedzinie korespondował z pisarzami swej epoki, którzy to czołowi znawcy konia zaproponowali mu napisanie przedmowy do słownika, co było oczywiście wielkim sukcesem. Słownik był unikatem. Specjaliści od razu go rozchwyтали. W Genewie, gdzie odbywały się międzynarodowe konkursy jeździeckie, publiczność była na wysokim poziomie i znawcy, którzy przychodzili do maneżu zorientowali się szybko, że ojciec był człowiekiem o wyjątkowej wiedzy fachowej, a gdy widzieli go konno zachwycali się jego wspaniałą klasą. Jako młody oficer miewał lekcje u Francuzów w grudziądzkiej szkole wojskowej i później do Genewy przyjeżdżali jeźdźcy ze słynnej „Cadre Noir de Saumure”. Ojciec odnawiał i nawiązywał kontakty. Myślę, że miał specjalną technikę. Kochał konie i uważał że nie należy ich męczyć. Był przeciwny wysokim przeszkodom. Był idealistą i człowiekiem tradycji. Jego domeną była „Dressage” a dewizą „Servir”.